

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

— Ktoś tu był przedemną — przemknęła mu myśl — przyniósł cukierki, palił papierosy... Naturalnie... Czegoż to spodziewałem się...

Ogarnął go dziwny niesmak.

— Po co ja tu właściwie przyszedłem?

W tej chwili pani Ada wydała mu się bardzo daleką, obcą i obojętną.

Miał ochotę wstać i odejść, ale nie zrobił tego.

Oparł głowę o miękkie poduszki kanapy, zapalił papierosa i czekał.

Powoli zaciszna atmosfera pokoju jasno oświetlonego, wysłanego dywanami, pełnego róż, zaczęła na niego oddziaływać...

Robiło mu się jakoś dobrze, miło, wygodnie, słowa Jawiczka zgłuchły.

Tylko dlaczego ona tak długo każe mu czekać?

Skrzypnęły drzwi... Ludwik drgnął... Do pokoju wbiegła mała istotka z nieporządnie uczesaną główką, z wlokaciami się u bucików sznurowadłami i wyciągnęła do niego rączki.

— Tatusi, tatusi!

Dziecko przybiegło bliżej, poznało swoją omyłkę i cofnęło się zawstydzone.

— To pan, nie tatusi... Mój tatusi także żołnierz.

Rażycki pochylił się ku dziecku, które spoglądało nań wielkimi, szeroko rozwartymi modremi oczami.

— Ty pan, ty pan, ty nie tatusi...

W przyległym pokoju rozległ się gniewny głos pani Ady:

— Maryanna! Co to znaczy, dlaczego Irka biega po mieszkaniu. Jak Maryanna pilnuje dziecka? Proszę Irkę wziąć natychmiast do kuchni!

Rażycki podniósł dziewczynkę z ziemi i posadził ją sobie na kolanach. Do pokoju wbiegła służąca, aby wykonać rozkaz pani.

— Fel! Niegrzeczna Irka! Nie wiesz, że mamusia się gniewa, jak Irka biega po pokojach. Chodź mi tu zaraz, widzisz ją, od razu na kolanach.

Irka błagalnie spojrzenie swoich modrych oczu zwróciła na Ludwika, jakby szukając u niego opieki i pomocy.

Rażycki przycisnął dziecko mocniej do siebie.

— Proszę ją zostawić, ona mi wcale nie przeszkadza.

— Pani będzie się gniewała.

— To już sam przeproszę panią... Chcesz, Irko, zostać ze mną?

— Chcę, chcę — szczebiotała dziewczynka, czepiając się rączkami szyi nowego przyjaciela.

Maryanna dała za wygraną i wyszła, pozostawiając Irkę.

Dziewczynka była bardzo ładna, twarzyczkę miała bystrą i roztrofną, ale sukienka jej zdawała się być oddawna nieprana, a dziecko samo dnia tego wcale nie myte i nie czesane.

— Ci ty pan znaś mojego tatusia?

Ludwik wpatrzył się w twarzyczkę dziewczynki, nie była podobna do matki, może do ojca.

Nie mógł sobie przypomnieć dokładnie, jak wyglądał Warewicz. Rozejrzał się po pokoju, szukając wzrokiem jego fotografii, nie znalazł jej.

Zato portretów samej pani domu rysowanych, malowanych, fotografowanych różnorodnej wielkości, w rozmaitych pozach i kostymach było kilkanaście.

— Czy Irka kocha tatusia?

— Kocha bardzo, bardzo.

— A mamusię?

Irka zawahała się z odpowiedzią.

— Mamusię też.

Pospiesznie dodała:

— Pan, opowiedz bajkę...

— Nie umiem, Irko, opowiadać bajek.

Dziecko zrobiło zasmuconą minę.

— Nie umiś! Mamusia także nie umie. Malijanna nie. Tatusi umiał opowiadać bajty. Telaz nit Ilce nie opowiada bajet.

W głosie dziewczynki zabrzmiała żalosna skarga. Ludwik uczył, że ogarnia go jakieś dziwnie tkliwe, ojcowskie uczucie dla tej małej istoty, która w tym zacisznym, wykwinie urządzonym pokoju, pełnym miękkich dywanów, pięknych kwiatów, zgrabnych mebelków i gustownych cacek, robiła wrażenie smutnego kopciuszka, opuszczonej sierotki.

A wszak to ojciec jej własną, wyteżającą może nał siły pracą usiłował miłe, ładne gniazdko, z którego podczas jego nieobecności wyrzucano to bezbronne stworzenie nieumyte, nieuczesane, w brudnej

perkalikowej sukience, w podartych, rozsznurowanych bucikach do „kuchni“, pod opiekę obcej, nieokrzesanej może, niechętniej kobiety.

Naturalnie! Dziecko przeszkadza w przyjmowaniu gości i wyglądem swoim kompromituje strojną mamusię.

— I to jest matka!

Oczy Rażyckiego mimowolnie padły na porzuconą na kanapce książkę. Machinalnie wziął ją do ręki. Spojrzał. Były to „Szkice“ Multatulego. Książka otwarta była na noweli p. t. „Ornis“, w której autor powiada: „I pytam, dlaczego pani Petersen i tylu innych ludzi „chowają“ sobie dzieci?“

Położył książkę i w myśli powtórzył zapytanie holenderskiego pisarza: Dlaczego?!

O piękna pani Ado! Dlaczego tobie wolno „chowac“ sobie dziecko?!

Mała rączka szarpnęła go za ramię.

— Pan... powiedz... kiedy włóci tatusi? Ilta cie tatusia... Tatusi tocha Ilte... Ilta tocha tatusia...

— Wróci tatusi, dziecinko, wróci do Irki — wyrzekł stłumionym głosem Ludwik.

— Płdko!... płdko!...

— Prędko...

Irka zsunęła mu się nagle z kolan i schyliła się po różową kartkę polową, leżącą na dywanie.

Widocznie kartka spadła ze stolika, rzucona tam niedbale...

Dziewczynka podniosła kartkę i wciskała ją w rękę gościowi.

— O! Tatusi pisał... Citaj pan... Ilka nie umie citać...

Ludwik odruchowo spojrzał na kartkę, zapisaną równym, wyraźnym pismem męskim. Nie myśląc o tem, co robi, przeczytał kilka pierwszych zdań:

„Ukochana, złota moja Aduś!

Dlaczego piszesz tak rzadko? Mnie tak bardzo tęskno do ciebie i naszej maleńkiej Irki, niepokoję się o was ciągle... Odpisz proszę cię, Aduś, zaraz, czy jesteście zdrowe...

Posyłam ci pieniądze, bo wiem, że tam w Krakowie wszystko drogo, a ja tutaj w polu niczego nie potrzebuję...“

Kartka wysunęła się z palców Ludwika i upadła na dywan, znacząc się na nim ciemno-różową plamą.

W tej chwili dobiegł go głos pani Ady, jakiś gniewny, podniesiony.

Wstąpił chwycił Rażyckiego za gardło, oczy jego błądziły po pokoju, spoglądając to na leżącą na ziemi kartkę, to na dziecko, które wyczekująco podnosiło ku niemu gwiazdy ciemnych oczu, to na bombonierę z zatkniętym w niej biletom wizytowym i znowu na dziecko.

Może ten człowiek, który pisał te dobre, serdeczne słowa, ginie w tej chwili, a może to biedne, zaniedbane dziecko nie ma już kochającego tatusia...

— Co ja tutaj robię?... Poco ja przybyłem do jego domu... do jego żony... Jak złodziej... Jak najpodlejszy złodziej... A ona... Nie, nigdy!...

— Pan... pan... Dlaczego ziućcieś?... — zadzwonił głosik dziecięcy.

Zaszleściło coś... wionęło... zapachniało perfumami „Rose de France“.

Do pokoju wbiegła pani Ada w szlafrocze powiewnym z jedwabnego batystu barwy ciemnych irysów — różowa, świeża, śliczna, urocza...

Głębokie wycięcie szlafroka odsłaniało wypieszczone, lekko złotawe, jak dojrzewająca brzoskwinia, ciało brunetki.

Z obramowania białych koronek, którymi oszyty był szlafrok, wykwiatały szyja, a z luźnych rękawów wysuwały się pełne, rozkosznie zaokrąglone, lekkim, ciemnym puszkim pokryte ręce.

Pani Ada wyciągnęła ku Ludwikowi swoją małą, piękną rękę, na której obok obrączki ślubnej — błyszczał pierścionek z brylantem.

— Długo kazałam czekać na siebie?... Gniewamy się o to, co?... Kiedy doprawdy nie mogłam zaraz... Irka, co ty tutaj robisz? Czego się naprzykrzasz panu?... Marsz mi zaraz do Maryanny! Ach! Te służące... Co panu, panie Ludwiku? Nie wita się pan ze mną... Tak bardzo się pan gniewa o moje opóźnienie... Oj! Złośnik! Złośnik...

Ludwik stał nieruchomo bardzo blady, bez słowa. Pani Ada spojrzała na niego zdziwiona, zaczęła się usprawiedliwiać...

— Fel! Cóż to za brzydka zmarszczka na czole! Któż widział być tak nerwowym i niecierpliwym!... Byłabym już tutaj od dziesięciu minut, gdyby nie ta nieznosna służąca... Zirykowałam się, że kolacja jeszcze nie gotowa, bo ona, zamiast ją przyrządzać, wylewa strumienie łez nad kartką swego męża z pola. Znajomi namówili mnie, żebym wzięła mężatkę, której mąż jest przy wojsku i oto mam pociechę.

Pani Ada urwała, przerażona bladocią Ludwika

i jego uporczywym milczeniem. Instynkt ostrzegł ją, że chodzi tutaj o coś innego, jak o zwykłe dąsy...

— Co panu... panie Ludwiku... Ludwiku... Czyś chory... słabo ci...

A on zaciął zęby, aby nie bluznąć w twarz tej kobiecie w jej własnym domu słowami najwyższej pogardy.

Z trudem wykrztusił:

— Zegnam panią.

Chciał skierować się ku drzwiom, mijając panią domu.

Pani Ada, coraz więcej zdumiona i przestraszona, podbiegła ku niemu bliżej, zagradzając mu drogę, przyciemniając nogą, obutą w czarny aksamitny pantofelek, stąpiła na różową, porzuconą na dywanie kartkę.

— Pan chce odejść... Dlaczego... Co się stało... Co to znaczy... Kiedyż się zobaczymy?...

— Jeżeli to będzie odemnie zależało, nigdy! — odpowiedział twardo pewnym już zupełnie głosem. — Co?!

Ludwik przy drzwiach już obrócił się i rzekł ironicznie:

— Niech pani spojrzy, co pani depcze swoją nóżką i niech pani popatrzy tam — wskazał Irkę, która w obawie snąć przed gniewem matki skuliła się pod ścianą w kłębuszek. — Ja, pani, mam matkę, dobrą, zacną matkę i przez miłość dla niej nie chciałbym stracić szacunku dla kobiety, a gdybym pozostawał tutaj dłużej...

Nie dokończył i zniknął za drzwiami, pozostawiając kobietę oniemiałą ze zdumienia, z twarzą wykrzywioną, zeszpeconą szalonym gniewem.

Ludwik biegł po schodach, jakby go kto gonił. Wychodząc szybko z bramy, nie zauważył, że pod murem kamienicy stała skurczona jakaś drobna, nędzna postać kobieca w czarnym słomkowym kapeluszu.

Kobieta ta ściagała wzrokiem Rażyckiego, dopóki nie zniknął na zakręcie ulicy.

Odetchnęła jakby z ulgą i szepnęła cichutko:

— Nie został u nie... — i oddaliła się drobnymi krokami w przeciwną stronę.

Na ulicy płonęły już latarnie...

Ludwik Rażycki skręcił na planty i szedł powoli, chłodząc rozpalone czoło powiewem lekkiego wiatru wieczornego...

Był tak wzburzony, że nie mógł zebrać myśli, więc chciał się uspokoić łagodną atmosferą letniego wieczoru, odzyskać równowagę umysłu, gubiąc się wśród tłumu spacerowiczów, snujących się po Plantach...

Ludwik nie miał natury samotnika — lubił ludzi, ruch, gwar i nerwy jego uspakajały się najlepiej na widok twarzy ludzkich wśród poszeptu rozmów...

Wśród tłumu odnajdywał samego siebie...

Zaczął rozważać swój postępek... Czuł się z niego dumny i zadowolony... Na myśl o pani Adzie otrząsał się poprostu... Wspomnienie jej urody, zmysłowej, drażniącej, przestało na niego działać, odczuwał tylko takie moralne obrzydzenie, że brała go ochota splunąć...

Ludwik był lekkomyślny i temperament unosił go często, niemniej jednak na dnie jego duszy spoczywało głębokie poszanowanie dla świętości macierzyństwa i to przeświadczenie, że są na świecie jeśli nie „białe anioły z skrzydłami białymi“, to w każdym razie kobiety godne prawdziwego szacunku...

Znał przecież takie... matka... Aniela i kilka jeszcze innych kobiet...

Przypominał sobie słowa wypowiedziane do Witoldówny: „że pięknym kobietom wybacza się wiele“.

— Tam do diabła! Przeholowałam!... Wiele nie wiele, w każdym razie nie wszystko... W ostateczności wolę już Kornelię z jej monsturalną brzydotą, aniżeli tę syrenę... Tylko dziecka szkoda... Takie miłutkie, roztropne maleństwo... Tfu! I to się nazywa matka!...

Dobrze to Multatuli powiedział: „dlaczego pani Petersen i tylu innych ludzi...“

Od strony Uniwersytetu biegło ciche brzękanie mandolin, a po chwili ozwały się głosy młodzieńcze, śpiewające popularną gondolierę:

„O pójdz, zapada nocy czar,
Wśród sinych morza fal
I księżycowych złudnych mar
Gondola pomknie w dal...
Oczarowana światła cudnych gra,
W miłości cudnym śnie,
Gdy mandoliny zabrzmi ton,
Czy oprzesz się? O! Nie...“

(Ciąg dalszy nastąpi)